



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

PAMIĘCI

Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Pprzed stu laty, w okienku tej mrocznej budowy,
Gdzie niewiasty len przedły, przy nocnym kaganku,
Skowronki zaśpiewały, że w jutrzni różowej,
Ty weszłaś, gwiazdo poranku!

Zerwały się niewiasty. „Czas iść! To już zorza!“
I poszły, patrząc w przyszłość jak słońce ogromną,
Ach, wiele się zbłąkało na ciemne bezdroża...
Te już o tobie nie pomną.

Lecz dla tych co z prawego nie zbiły się toru,
I promień twój na czole doniosły do końca,
Ty po stu latach wracasz, o gwiazdo wieczoru!
Bądź wróżbą, na nowe słońca.

Deotyma.

Józefa Naprstkowa.

Sławny działacz czeski Wojta Naprstek zostawił po sobie wdowę, ze wszech miar zasługującą na bliższe poznanie, bo życie jej przedstawia doskonały wzór do naśladowania.

Józefa z Krzyżków Naprstkowa pochodziła z ubożego stanu; w młodym wieku oddano ją na służbę do domu zamożnej mieszczanki Anny Naprstkowej, posiadającej gorzelnię w Pradze. oraz własny dom, zwany „u Halanku.“ Nieboszczka pani Anna słynęła jako znakomita gospodyni, niepospolita filantropka, oraz troskliwa i kochająca matka. Posiadając elementarne tylko wykształcenie, pragnęła nauki dla swego jedynaka, popierała jego zdolności i ceniła rozwijający się rozum. Wpływ takiej matrony, oraz zacnego jej syna, oddziałał na inteligentną Józefę, która korzystając z każdej zdarzonej sposobności, obracała na naukę wszelkie wolne od pracy chwile. Takim sposobem kształciła coraz bardziej rozum swój i serce, co należycie potrafił ocenić taki człowiek, jakim był Wojta Naprstek. Oboje narzeczeni czcili i kochali matkę, a kilka lat odwlekali dzień ślubu dla tego tylko, aby pani Anna czuła się samodzielną panią w domu do końca życia.

Po jej śmierci dopiero młoda Naprstkowa ujęła ster domowego zarządu, którego praktyczną stronę na swe barki po matce przejęła, podczas gdy mąż poświęcił się całej nauce i pracy dla kraju. Wojta Naprstek przywiózł z podróży swych wiele ciekawych okazów i pamiątek i te stały się zawiązkiem założonego później przez niego sławnego Muzeum przemysłowo-etnograficznego, które obecnie pani Józefa, w myśl nie-

boszczyka męża, darowała wraz z domem na ten cel zbudowanym Pradze.

Niezależnie od tego, że majątek Naprstków wzrósł tak, że zabezpieczał im dwojgu dostateczne utrzymanie, nie zwijali oni interesu, lecz prowadzili nadal z całą energią, a to w celu dalszego uzupełnienia kosztownych zbiorów muzealnych. Nawet po śmierci ubóstwianego małżonka, przebolawszy ciężko jego stratę, pani Józefa rąk nie opuszcza, lecz pracuje nadal z zaparciem się siebie, ofiarując rezultaty swej pracy na cele ojczyście.

S. p. Wojta był między innymi pierwszym inicjatorem ruchu kobiecego w Pradze. Aby do niego pobudzić, urządził szereg odpowiednich odczytów, oraz założył stowarzyszenie kobiece pod nazwą „Amerykańskiego klubu dom.“ Należące do niego panie zbierały się w lokalu muzeum i korzystały ze wspaniałej jego biblioteki. Pani Naprstkowa, jako jedna z pierwszych członkiń klubu, była jego sercem, podczas gdy małżonek jej był jego duszą. Zaczynała ta niewiasta przejęła się zasadami swego małżonka i rzetelnie a wytrwale w czyn je wprowadzała. Pomagała mu na przyjęciach stowarzyszonych dam, układała i porządkowała licznie napływające przedmioty do muzeum, robiła przy jego boku wycieczki botaniczne i geologiczne, z których zwykle przybywało coś do zbiorów. Nabrawszy zaś szczególnego zamiłowania do prac kobiecych, zaczęła wyszukiwać i zbierać stare ludowe hafty, wykonywane wełną, jedwabiem, srebrem i złotem. Dział ten w muzeum Naprstków reprezentowany jest bardzo bogato, a zwłaszcza odznacza się wyrabianiami w ten sposób czepkami kobiecymi i czepeczkami dziecinnymi. Jest to najbogatszy tego rodzaju zbiór w Czechach, zajmujący kilka wielkich sal, wypełnionych szafami.

Prócz tego, każda większa praca, przedsięwzięta przez kobiety czeskie, znajdowała uznanie i pomoc czynną u p. Naprstkowej. Popierała ona hojnie wszelkie przedsięwzięcia, a gdzie tylko potrzeba tego wynikała, osobiście brała w nich udział. Tak, w czasie wystawy etnograficznej w Pradze 1895 roku, przy otwarciu której prezes A. F. Szubert podniósł wielkie zasługi obojga małżonków Naprstków na polu etnograficznym, przypisując im projekt dany do wystawy, oboje Naprstkowie byli tam czynni i większą część swych zbiorów pożyczili.

Taka praca społeczna nie przeszkadzała p. Józefie, że zajmowała się zawsze i dotąd wzorowo prowadzi swe interesy handlowe. Mało kto z cudzoziemców, zwiedzających muzeum, spotkawszy wysoką, szczupłą, latem w płócienkowej skromnej sukni i białym fartuchu kobietę, domyśliłby się, że to jest właśnie owa właścicielka i współtwórczyni muzeum.

Nic dziwnego, że Czesi, mając taką zasłużoną i znaną kobietę między sobą, skorzystali z przypadającej 8 Października r. b. 60-jej rocznicy jej urodzin i zapragnęli uczcić jej zasługi należycie. Dowiedziawszy się o tych zamiarach p. Naprstkowa, która uważa się za skromną pracownicę w winnicy pańskiej, a wszelkie zasługi mężowi i matce jego przypisuje, wypraszała się od wszelkich dowodów uznania.

Niemniej jednak, chociaż uroczystości chciała nadać charakter czysto prywatny, musiała przyjąć życzenia od licznej grona swych przyjaciół. Przedewszystkiem b. członkini klubu amerykańskiego ofiarowały jej znakomicie odrobioną płaskorzeźbę Wojty Naprstka, przeznaczoną do ozdoby ścian biblioteki, gdzie na wyrażone życzenie nieboszczyka spoczywają w urnie prochy jego, po spaleniu ciała z Gothy przywiezione.

Dalej deputacja panów i pań złożyła kwotę pieniężną, przeznaczoną na dopełnienie zbiorów muzeum. Prócz mnóstwa kwiatów, podanych przez różne stowarzyszenia, solenizantka otrzymała wspaniałe dary, kwalifikujące się również do zbiorów muzeum.

Antoszka.

Za progiem raj.

CYKL PIOSNEK.

XI.

Ja pragnę...

Wędrując długo już przez pustynie
Pośród gorącej życia Sachary—

Ja pragnę...

Pomimo tylu walk i goryczy
Pomimo cierpień spełnionej czary—

Ja pragnę...

Nic mnie nie koi, ni kwiatów wonie
Ani rozkosze doczesnej czary—

Ja pragnę...

I nie ukoją wiedzy pewniki
Ani też złudzeń rozwiewne mary—

Ja pragnę...

I chociaż ducha modlitwą wznoszę—
Pomimo mojej głębokiej wiary—

Ja pragnę...

Płomień wewnętrzny ciągle się wzmaga,
Ze zgasłych—nowe powstają żary—

Ja pragnę...

A gdy do twego wzniosę się nieba —
Ałlach! to jeszcze czegoś mi trzeba,
I najboleśniej wtedy bez miary—

Ja pragnę...

Może to tylko ta niecierpliwa
Dusza, która się w wieczność wyrwa,
Tak trudno znosi zmysłów ciężary—

Że pragnę...

XII.

Na łonie przyrody.

Ludzie nie dali mi żadnej pociechy,
W tobie, znalazłam ją, słodka przyrodo.
Czoło mi chłodzą palm zielone strzechy,
Pragnienie—krople twe przeczystą wodo.
Kwiaty niewinne mi dają uśmiechy,
Myśl mi się od nich rozwidnia pogoda,
Powietrze Azji wonne swoje tchnienie
Leje w mej duszy bolesne milczenie.

Długo błądziłam brzegiem Eufratu.
Coś jaskrawego naraz ujrzę w dali—
Patrzę, to w łusce lekkiego szkarłatu
Kwiat aloesu wśród liści się pali,
Zmęczone skronie przytulam do kwiatu,
I słucham bicia krwi pachnącej fali,
Słucham... niepokój mój dobiega kresu...
Żal cały spłynął w kielich—aloesu.

O, ty, Libanu czarodziejski szczycie!
Kto ciebie widział zapomnieć nie może!
U góry, w śniegów odwiecznych habicie,
Na piersiach łuskę masz w złociste zboże,
A u stóp twoich wiosna w swym rozkwicie
Zaściela ludziom wonne kwiatów łoże
I gdy tak stoisz w rannej mgły turbanie
Jak nie uwielbiać cię, boski Libanie!

Jakże mi dobrze, gdy na twoich stokach
Błądę, zrywając wpółrozkwitłe róże!
Gdy stopą szukam w złotawych obłokach
Twoich progów skalnych co wiodą ku górce,

A wzrok mój tonie w czarownych widokach
Skąpanych w słońca wieczornej purpurze,

A gdy na dole szaro już i ciemno—
Alpejska zorza jeszcze tli nademną.

Jakże mi błogie bywają te chwile—
Gdy uciszona, od świata zdaleka,
Otrząsnę stopy po tym ziemskim pyłe,
Z pamięci zamknę wspomnienie człowieka,
A myśl, więziona w doczesnej mogile
I jakąż rozkoszą w błękity ucieka!
I w takim wtedy siedzę uciszeniu—
Że nie drgnie motyl na mojem ramieniu...

Oh, ty, przyrodo, ja na twojem łonie
Czuję się dobrze jak u matki—dziecie,
Siła co w tobie bije, we mnie—płonie,
Mojem marzeniem kwitnie każde kwiecie,
Do ciebie, piękna, ja wyciągam dłońie,
Boś ty najlepszą rzeczą na tym świecie,
Bo ciebie jednej grzechy nie skalają,
Boś ty tron bóstwa czysty, doskonały.

O, weź mnie, weź mnie, upajaj woniami,
Lej w moją duszę wszystkie twe kadzidla,
Czystymi ducha wzmocnij wrażeniami,
Twoich krajobrazów zmieniaj malowidła,
Ja tonę w tobie wszystkimi zmysłami,
I w światłach twoich kąpię moje skrzydła,
Cudna przyrodo! utul twoje dziecko,
Ty jedna rajem mi jesteś na świecie.
Szczęсна.

BIAŁA BASZTA

NOWELLA

przez

SZCZĘŚNA.

(Dalszy ciąg).

Dzień przeszedł na szybkiej podróży; pod wieczór wjechali dwójkami w wąską drożynę między pszenice i żyta, czekające już lada dzień sierpów. Brzeg drogi zarastały gęsto bławatki. Mikołaj patrzył na Małgosię badawczo. Ona podniosła na niego oczy i wnet dojrzała w jego twarzy niepokój. Odgadywała przyczynę.

— Patrzcie—rzekła swobodnie, — jakie zdrowe zboże, ani jednego kąkolul!

— Prawda...

— Chciałabym, żeby i w waszej duszy nic się gorzkiego nie siało... dajcie mi wyrwać ten kąkol, co was smuci, bo jużci widzę, że was coś trapi...

— Jeżeli wy, Małgosiu, odczuwacie, że mnie coś trapi, to już mi nic dokuczyć nie może! Wierz-że mi, gdybym duszę miał chwastami złych myśli całą przerosła, toby oczy twoje wyplewiły z niej wszystko do czysta.

— Teraz, tobym przynajmniej ten jeden kąkol wyrwać chciała, bo niepotrzebnie was niepokoi...

— No, to patrz na mnie, pani moja!

Dziewczyna zatrzymała konia, spojrzenie swoje wsączyła mu w źrenice i patrzyła tak długo, uważnie, serdecznie, aż naraz roześmiała się i pokrasiłszy mocno, popehnęła konia przodem.

Noc już gwiazdami wyglądała na ziemię, po słońcu została złotawo-zielona smuga tuż nad polami, na tej smudze rysowały się czarne jakieś linijki i kulki.

— Patrz Małgosiu, — rzekł rycerz — to Kraków... widzisz, tam na prawo to Wawel, a trochę niżej—to Skalka...

— Widzę...

— A tam, wprost przed tobą — huknął naraz między nimi, wjechawszy z koniem, swawolny chłopak, i zdjął, na której końcu płał bukietik bławatków i kąkolu, wskazywał:—a tam wprost przed tobą, Małgosiu moja, to mogiła Wandy, co nie chciała obcego, nieznanego... jeno wolała swego, bliższego... widzisz?

— Waćpan znasz dobrze dzieje ojczyste—zauważył Mikołaj,—to chwalebne.

— Ja i przyszłe dzieje czasem znam, — chichotał młokos znacząco i lancę swą podniósł do góry.

— O ile zależą od twej dobrej woli, o tyle możesz znać swoją przyszłość, — zauważyła Małgosia.

— Ja i złą wolę.. przewiduję...

— To niebezpiecznie dla ciebie — wtrącił Mikołaj.

— Widzę, żeś nietylko poganin, ale i buntownik, — zaśmiała się dziewczka, chcąc rzeczy w żart obrócić.

— Krewnym przeciw Masława, — mruknął chłopak ponuro, i tak blisko przed końmi mignął swoją dzidą, że Mikołaj lękając się, aby Małgosia nie dotknęła, odbił mu to zuchwałe ostrze tak silnie i zręcznie, że trzasło w kawałki.

— Przepraszam ciebie, chłopcze, — rzekł grzecznie — w moim lamusie wybierzesz sobie inną.

— Poczekam, aż mi inną rycerz Mikołaj przywiezie... niedługo... za jakie lat... dziesięć!... ha, ha, ha! — śmiał się Zdenko na cały głos. Małgosia zbłądła bardzo.

— Sam sobie wybierzesz, bo weźmiemy wasci ze sobą, abys się wprawiał do rycerskiego stanu, — rzekł wyrozumiale, jak do żaka rycerz.

— Eh, ja tu może pierwiej przepadnę w jakim buncie,—syknał chłopiec, patrząc zaczepnie na dziewczynę, ale ona rzekła obruszona:

— Musisz, niestety, pamiętać, jak się ginie na czele buntów... jako krewny... tamtego...

Aż się zdumiał Mikołaj surowości jej głosu i śmiałości tego przypomnienia haniebnej śmierci Masława.

— I ty znasz, widzę, dobrze dzieje ojczyste, rodzinne, bośmy krewniacy, ha, ha!

— I przyszłe... — rzuciła Małgosia, wysuwając się naprzód na siwym.

— Mroczne bardzo... Małgosiu!

— Coś niejednostajnego jesteś usposobienia — zauważył Mikołaj, — rano piejesz wesoło jak kogucik pod oknami, wieczorem kraczesz jak kruk ponuro.

— Ptaki czasem przeczuwają zmianę...

— Minęły już te czasy, kiedy z zachowania się drobnych ptaszek wróżono o losach przyszłości.

— Widziałem ja raz na turnieju — cedził powoli Zdenko, — jak rycerz powalił rycerza, powalonemu spadł hełm z głowy, a na hełmie był kogucik mały... sztydził z kogucika, że w prochu leżał, a zwycięzca podjął hełm z ziemi, włożył sobie na głowę i znów ptaszek był na wierzchołku...

— Mój chłopcze—rzekł Mikołaj gromkim głosem, zatrzymując konia,—może ty czego chcesz odemnie? co? to ci służę? może masz co do mnie? no, od razu!

Spuścił Zdenko oczy przed piorunującym wzrokiem rycerza i nieładny śnać walki, rzekł niedbale:

— Ależ wcale nie... ani mam do was, ani pragnę!

— No, to się waść zrównaj z szeregiem, bo oto już miasto przed nami.

— Tchórz... — pomyślała Małgosia — zląkł się Mikołaja i nic do niego nie ma... tak to mnie młował, tchórz!—i urok opadł z chłopca w oczach dziewczyny, bo nie tak w umyśle niewiasty nie poniża mężczyzny, jak utrata godności.

W godzinę niedługą potem stanęli przed jednym z domków na rynku w Krakowie.

— Zawsze sama sobie dam radę, — rzekła Małgosia, gdy z otwartymi ramionami stanął

przy niej krewniak, aby jej pomódz zsiąść z konia.

— I ze sobą dasz sobie radę? — szepnął złowrogo.

— Naturalnie!

— Wątpię...

— Dla mnie przeciwnikiem będzie tylko — śmierć, z ludzi—nikt!

— Jaka mi bohaterka!

— Odstęp Zdenko! rzekła stanowczo, zeskokczyła z siodła i wbiegła do izby. Za nią Mikołaj. Znużonym ruchem zdjęła kołpak z głowy, przetarła blade czoło.

— Bardzo zmęczona?—pytał troskliwie rycerz.

— Oh, bardzo, bardzo... — westchnęła i w przesileniu walki i zdobywania się na spokój w tym dniu podróży, udreżoną główkę oparła na żelaznej piersi oblubieńca. On gładził ostrożnie jej krucze włosy i mówił się silił spokojnie:

— Nie trwoż się... nie myśl za wiele... życie ma trudy, ale i obrona się znajduje... masz, widzę, zbrojne serce, jeno się nie męcz sama przewidywaniami...

— Czy wy... czy wy go zabierzecie naprawdę ze sobą?... oh weźcie! — dodała szybko, aby inaczej nie zrozumiał. Nie знаła ja go takim...

— Wczoraj nie wiedziałem jeszcze na pewno, dziś go do pocztu przedniego wliczymy, który odejdzie nade dnem... niebezpieczny to człeczek... nie dla ciebie, rycerko ty moja... ale dla słabszych od niego głów, a niecierpiących porządku i ładu... w jego krwi bunt płynie i źle go tu zostawiać bez zatrudnienia... rozharcałaby się zanadto.

Odetchnęła Małgosia.

— Spocznij, dziecię moje, jutro ważny dzień nas czeka. Odejdę, rozkazy hufcowi dać trzeba. Dobra no... moja... moja ty... moja...

— Dobranoc, panie mój... jedyny... — wyszeptala Małgosia wzruszona i rękę rycerza przycisnęła do ust swoich.

Gdy legła na posłaniu, sen silny, zdrowy, głęboki ujął ją od razu, a tklivy wyraz: moja... ukłysał jej zmęczoną duszę na długie, pokrzepiające godziny.

Dwa piękne konie sunęły lekko po murawie wśród cieniów wspaniałej dąbrowy, za niemi niewielka drużyna, o jakie tysiąc kroków, wbiegała w ich ślady. Na koniach przodem jechała dostojna para w głębokiem pograżona milczeniu... Rycerz w świetnej zbroi wesa siwiejącego pokręcał i rozpromieniony patrzył to przed siebie, to na niewiastę jadącą przy nim; niewiasta miała oczy spuszczone nisko, głowę pochyloną, a na bladym licu malowało się bezdenne zamyślenie... Nie dziw... Szereg obrazów, tłum wrażeń nie mógł się jeszcze pomieścić w jej duszy, a rączy tarant unosił ją ku nowym, jakich dziś jeszcze doznać miała... Widziała jaskrawo w pamięci jarzącą światłem świątynię, widziała biskupa, jego wzrok surowy, przenikliwy a przezysty, słyszała własnymi ustami wyrzeczoną przysięgę i ślubne słowa rycerza, słyszała potem głos nieco drżący ojca, który jej rozkazywał: raczej śmierć moja córko, niż hańba; słyszała daleki okrzyk radośny drużyny gdy z mężem już swoim, dosiadłszy koni, ruszyli przodem w drogę, słyszała serdeczne słowa, które rycerz jej rzucał od czasu do czasu wśród jazdy, słyszała nakoniec równy tentent kopyt po zroszonej trawie i szum dębów nad głową kołyszących poważnie swe wierzchołki... Zamyślona tak, puściła wodze koniowi, a zwawy tarant skręcał to w prawo, to w lewo, skubiąc listki w przelocie.

— W gęstwinę mi zajedzie moja pani... — rzekł mąż biorąc szybko cugle jej konia, — nie dziwota! od jednegoś świata odstała, do drugiego jeszcze nie przyłgnęła, kołyszysz się w środku jak we śnie...

Zdało się jadącej, że rycerz z zalem to mówił, więc podniosła na niego swe błękitne, uważne oczy, a spojrzenie rozplynęło się w uśmiechu.

— Nie przyłgnęłam, mówicie? oh, jeszcze jak...

— Małgosia! dobrze mi na świecie dziś!

— Po tej przysiędze, to mi się zdaje, jakobym was znała od urodzenia, jakbyśmy całe ży-

cie razem przeżyli, jakbyśmy duszę jedną mieli...

— Małgosia! gwałtu, jedźmy prędzej, bo z radości stempa nie mogę!

— Prawda! — podcięli konie i puścili się cwałem.

Las zrzedniał, zielone błonia się ukazywały między drzewami, za błoniami falista okolica i szczyt jakiś szary, na lewo rzeka niewielka ale czysta, na prawo gościniec biały.

— O, zdyszałam się,—rzekła kobieta wstrzymując konia, — ale zdyszeć się z radości, to miło... Jakże tu pięknie!

— Podoba ci się? to dobrze, życie nam tu upłynie... Patrz, moja miła, ten szary zameczek tam... na wzgórzu, ponad siólem... wiesz co to jest? to Ziębocin!

— Ah! — krzyknęła wesoło Małgosia i zdjąwszy z głowy piękny hełmik złoty, ślubny męża podarunek, ukłoniła się nim zdała swej nowej siedzibie.

Mikołaj pochylił się ku żonie i na odsłoniętem, ślicznem czole złożył gorący pocałunek.

— Tak mnie pasujesz na rycerkę tego zanku?

— Na moje kochanie... — szepnął rycerz.

Zatrąbiły strażę, most spuszczone, ciężkie wrota żelazne otwarto, pochodnie na dziedzińcu buchnęły płomieniem, u wejścia do sieni dwaj słudzy naczelnicy witali rycerza i jego piękną małżonkę; Ścibor chudy, stary, ponury, z białym wąsem, w czarnej zbroi, wręczył panu klucze od twierdzy, Mściśław dorodny, młody jeszcze, z złotawą brodą, w srebrnym pancerzu, podał pani klucze od wewnętrznych komnat i spichlerza. Gdy oboje państwu weszli do środka, Mściśław nie mógł wytrzymać.

— A to krasawica! — wybuchnął.

— Zobaczymy, — mruknął Ścibor niechętnie.

— Co to zobaczymy! to widać od razu! wy zawsze nieradzi niewiastom.

— Białogłowskiemu rządowi! Niewiasta w twierdzy, to jedna więcej baszta do bronienia!

— Będziemy jej bronić, czemu nie! — mówił Mściśław ochotnie.

— Ojej! a tymczasem Pomorzycy resztę wezmą!

— No jakoś to będzie!

— Wiecznie masz waćpan piasek we łbie, a gruntu nie! at...

Rozeszli się mrużąc na siebie.

Minęło kilkanaście dni złotych, pięknych, słonecznych dla nowożeńców, którzy zapomniawszy o świecie całym, żyli w zamczku jak w arce unoszącej się ponad potopami ziemskich wydarzeń. Małgosia, ku ucieciesz szczupłej załogi okazała od razu dużą znajomość rzeczy wojennej; pytała o wszystko, niejednego brakło, tamto się popsulo, owego nie znano, więc rozkazywała, nie pytając męża nawet, kuć, odlewać, sporządzać; w ruch wprawiała wszystkich, krzątano się jak przed oblężeniem.

— A co to tam kuciecie koło bramy? — pytał Mikołaj pachółków.

— A, to pani rozkazała wrzecieże dać nowe.

Uśmiechnął się pod wąsem rycerz.

— Da sobie radę, kochanie...

Aż jednej nocy, gdy księżyc oblewał światła powodzią szare mury zamczku, a oni we dwoje siedzieli przy basztowym oknie, gwarząc bezpiecznie, na błoni zamajaczyła plamka srebrna, ruchliwa, zbliżająca się miarowo ku murom.

Małgosia krzyknęła boleśnie, tłum przeczuć dławil ją w piersiach.

— Co tobie? jedyna moja?

— Zły duch jedzie doliną... wnet do nas zakolata.

— Bój się Boga, co wygadujesz, jaki duch?

— Słyszysz? już jest! czułam od wczoraj, że tak będzie, dziś księżyc złą miał twarz... — szepnęła wylekniiona, wierząca w wróżby Małgosia

i zarzuciwszy ręce na szyję mężowi: — Nie dam cię! — wołała — nie dam! tyś mój, król ciebie miał pół wieku... teraz ja... nie dam cię!

Tymczasem otrąbiono na wałach gościa, ciężki krok Ścibora zadudnił na schodkach kamiennych baszty i po chwili zakolatawszy wszedł sługa:

— Zbrojny człowiek... chce mówić z waszą miłością.

— Niech wejdzie... — rzekł spokojnie Mikołaj.

Za chwilę wysmukły łucznik przestąpił progę.

— Kto cię przysłał?

— Król.

— Z czym?

— Król wzywa was.

— Kiedy mam wyruszyć.

— Zaraz... król już w drodze... ja wskażę waszej miłości kędy łufce poszły.

— Dobrze. Idź spocznij, ja gotów będę...

Łucznik wyszedł. nastąpiła cisza w baszcie.

Rycerz dusił ból w sercu, niewiasta tłumiała łkanie.

— Małgorzato! — rzekł gromkim głosem.

— Panie mój? — odpowiedziała spokojnie.

— Kiedy ja wyruszę?

— Zaraz!

Mikołaj porwał ją w objęcia.

— Ach, ty rycerko moja, więcej niż stu wypraw bałem się twoich łez i narzekania drogiego. Bóg z nami... wróć... miłować się będziemy jako dziś... prawda?

— Jako dziś... aż do śmierci.

— Posępnym myśłem się broń... pogłoskom nie wierz... siebie ratuj... niech zamek z ziemią zrównają wrogi... bylebyś ty mi ocalała... pamiętaj... z tyłu wojen ciebie ja chcę wynieść jako mój drogocenny łup... broń siebie jako mojej własności... pamiętaj...

— Spamiętam... własność twą zachowam całą i czystą, albo...

— Niedopuszczaj smutku i trwogi... mężna bądź...

— Pójdź, broń wybierem dla ciebie, — rzekła i szybko skoczyła na ciemne schodki baszty byle łez jej nie widział. W godzinę wszystko było gotowe, koń rżał u bramy na wałach, łucznik królewski czekał i niewielka drużyna.

Mikołaj cały w zbroi przestąpił próg sieni.

— Miłościwej pani słuchać jako mnie! — huknął na sługi. Skłonili się panu w milczeniu.

— Małgorzato!

— Jestem!

— Tak, ty zawsze *jesteś*, nigdy siebie samej nie zagubisz w rozruchu zdarzeń... gniazdo moje w dobrym zostawiam rękę. Zdrową mi bądź!

— Mikołaju! — zawołała kobieta i sto uczuć różnych zabrzmiało w tym jednym okrzyku. On na koń skoczył, oręża dobył, pięknym błyskiem oddał jej hołd rycerski, na most zwodzony runął, potem za bramę, potem na gościniec srebrny od miesięcznej ulewy; brama trzasnęła, most się podniósł, czarna fosa wionęła chłodem ku Małgosi, a z dala do jej uszu, doleciało echo pieśni którą sobie rycerz ulgę sprawiał w nadmiarze wezbranych uczuć, pieśni, która zdawała się kapać od łez i zatrzymywać się łkaniem...

Boga Rodzico Dziewico!

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

I co teraz?... sztuka w 3-ach aktach, z konkursu „Kuryera Warszawskiego.

Przejrzawszy sprawozdania wszystkich pism naszych o sztukach, zaleconych przez konkurs „Kuryera Warszawskiego“ i odegranych już w Teatrze Rozmaitości, widzimy, że sąd o nich wypadł na niekorzyść tych sztuk; zdawałoby się nawet, że jakaś wspólna urzędzona została naganka, „napad“, jak chce „Prawda“, bez wzglę-

du na to, że niejedno może zdolne, lecz niewytrawne pióro wzięło udział w tym ogólnym popisie, że potrzeba było mieć trochę wyrozumiałości dla autorów niewiadomych jeszcze, tem bardziej, iż sztuki zalecone do grania, zawsze miały jakąś wartość, bądź literacką, bądź sceniczną, komitet zaś sędziów nie składał się z „piaskarzy“, lecz z ludzi znanych i bardzo znanych, zasłużonych i bardzo zasłużonych w dziedzinie piśmiennictwa naszego. Zwrocono nawet uwagę, że przez najostrożniejsze ciągi przechodzą u nas utwory z konkursów wyszłe, że najwidoczniej „zawiść“ — oszukanych może w nadziejach swoich rolę tu odgrywa, że w zwyczajnych warunkach sądy bywają pobłażliwsze i ten sam utwór oddany wprost na scenę, byleby przez „chrzest konkursowy“ nie przeszedł, mniejby gromów i niechęci wywołał.

Z zarzutami temi, spotykanymi w rozmowach potocznych, jako też w pismach, stojących w obronie wyroków konkursowych, nie zupełnie możemy się zgodzić. Jakkolwiek „zawiść“ jest grzechem niemal powszednim ludzi, ohydną wadą, godną skarcenia, — lecz jaką łączność z nią mają sprawozdawcy, którym nie śniło się nigdy sięgać po laury dla dramaturgów przeznaczone, którzy od wszelkich odznaczeń konkursowych na uboczu stali i stać będą? Ale są jeszcze „zawiedzione nadzieje...“

Czyje?

Tych chyba, którzy wzięli udział w wyścigu i niepowodzeniem skończyli. Zapalali więc zawiścią do sądu konkursowego, i mając usta przepełnione goryczą, zemścili się — na Bogu ducha winnych autorach. Takiej podłości jednak nie chcemy nawet przypuścić; jest to coś tak niskiego, że wolemy na oczy wziąć różową przepaskę, niż ujrzeć nędzę podobną.

Słusznie atoli jest twierdzenie, że w sądach swoich przykładamy do sztuk przedstawianych w teatrach w warunkach zwyczajnych, a inną do dzieł z konkursów wyszłych.

Dla czego?

Odpowiedź łatwa.

Każda rzecz widziana na deskach teatralnych, scenicznie zbudowana dobrze, może mniej więcej zadowolić widza i krytyka. Idąc na premierę pierwszej lepszej sztuki, idziemy z przekonaniem, że nie ujrzymy rzeczy „wybranej“, względnie „doskonałej“, wysuniętej na plan pierwszy z szeregu stu kilku dzieł, walczących między sobą o lepsze. Każda rzecz „wyróżniona“ wzmaga naszą ciekawość, podbudza fantazję, daje przedsmak czegoś lepszego od strawy codziennej... Gdyby tak nie było, wszelkie konkursy nie miałyby racy bytu, boć przecie nie są konkursami na miernoty. Te pojawiają się bez żadnego wyścigu. Jeżeli napięciu myśli naszej nie odpowiada mniej więcej w równej mierze widziana rzeczywistość, następuje niesmak, rozczarowanie, ztąd i sąd ostrzejszy, niżby był wyszedł w warunkach zwyczajnych. Jeżeli ze stu powołanych „wybranych“ dwóch tylko zostaje, ciałwajo wiele muszą przewyższać pozostałych. W razie przeciwnym nie pojmujemy „wyboru.“ Nie mówmy więc o „zawiści“, „złości“ i „nieuczciwości“ sprawozdawców. Jeżeli góra mysz urodzi — posłyszmy odgłosy niezadowolenia, nie okrzyki zachwyty. A jaki był poród „konkursu Kuryera Warszawskiego?“

Gdyby druga sztuka konkursowa, zatytułowana „I co teraz?“ pojawiła się w zwyczajnych warunkach na deskach naszego teatru, t. j. gdyby nie była „wybrana“ ze stu kilku utworów na konkurs przysłanych, zaliczylibyśmy ją do sztuk napisanych pod *względem scenicznym* udatnie dosyć, podnieśliśmy *żywość* akcji, nad *pospolitoscią treści* przesłilibyśmy, nie kładąc na nią szczególnego nacisku, powodzeniu byłibyśmy radzi, niepowodzenie zaś nie zrobiłoby nam wielkiej przykrości. Lecz jako rzecz „wyróżniona“ na konkursie, powinna czemkolwiek bądź wznieść się nad poziom, nad szablon, nad wszystko to, na co codziennie niemal patrzymy, nawiedzając progę naszego teatru.

Mąż, żona i kochanek — oto trzy typy, wypełniające najczęściej ramy naszej i nie naszej komedii czy dramatu. Trudno rzeczywiście bez

nich obejść się, bo miłość jest stara jak świat i razem ze światem starzeć się będzie, wciąż jednak się odmładzając. Uczucia i namiętności ludzkie są jedne i te same, niczem na pozór nie odróżniają się w przejawach swoich, a jednak są pewne odcienia, które odrębne im piętno nadają. Tę, zdaje się nic nieznaczającą odrębność pochwyć, jest rzeczą talentu i obserwacji autora. Ludzie się kochają i kochać będą, miłość była, jest i pozostanie zawsze osią życia, około której pajączą nic powieści, dramatu czy poematu owijają się będzie, twórczość jednak pisarza dostrzeże zwroty nowe, nowem je technieniem owionie i stworzy rzecz piękną. Erotyzm jednak za wszechwładnie rozpanoszył się w dramatycznej twórczości naszej. Główną treścią każdego niemal dramatu albo komedii jest przeniecierstwo małżeńskie. Gdzie tylko wchodzi *ten trzeci*, upadek jest nieunikniony. Niech i tak będzie, gdy nic innego znaleźć nie umiemy, lecz snując ciągle nic jedną, bierzemy się do pracy niezmiernie trudnej, jeżeli chcemy, by była dobrą i zająć nas mogła. „Chodźta czapla po desce, czy mówię jeszcze?“ przypomina mi się wciąż, gdy czytam lichą powieściową ramotę, kończącą się przeniecierstwem małżeńskim, albo gdy jestem na sztuce, w której rolę główną odgrywają mąż, żona i *ten trzeci*.

Autor drugiej sztuki konkursowej, zatytułowanej „I co teraz?“ chciał odpowiedzi na postawioną przez siebie tezę — jaki los czeka kobietę zamężną, którą kochanek opuścił i przed którą drzwi domu mężowskiego zostały zamknięte. Ale nie! gdyby te drzwi zostały zamknięte, gdyby kochanek zblaknął opuścił, a mąż *nie przyjął* „i co teraz?“ — mogłaby rzucić złamana nieszczęściem kobieta. Lecz w dramacie inaczej się dzieje. Mąż drzwi szeroko mieszkania swojego otwiera, bo upadku nie było; żona sama dobrowolnie, bezmyślnie odtrąca wyciągnięte ramiona zacnego, kochającego męża i rzuca następnie pytanie, na które żaden z moralistów ani psychologów odpowiedzieć nie potrafi, bo pytanie to jest tak dziecinne, jak dziecinne całe założenie i przeprowadzenie dramatu.

Znajdujemy się w sferze mieszczańskiej. Widzimy męża i żonę, Henryka (Śliwicki) i Ludkę (Trapszo). Henryk Łuczycki jest człowiekiem pracy, po dniach całych przesiaduje w sklepie, pracując ze swoim spółnikiem Hieronimem Borkowskim (Ładnowski), człowiekiem już podeszłym nieco w latach, bojącym się kobiet, dziwakiem zrażonym do niewiast, bo był żonatym niegdyś i żona go opuściła. Henryk szczerze kocha swoją żonę, lecz romansować z nią czasu nie ma. Dbając o wszelkie wygody ukochanej kobiety, której nic a nic z dóbr ziemskich nie brakuje, bo i mieszkanie ma ładne i na stroje starczy i goście nawiedzają progę domu Łuczyckich, musi pracować w czoła pocie, marząc o zakręgleniu swojego kapitału, co mu da możność dni już całe przepędzać przy boku żony. Ale pani Ludwika nie rozumie tego poświęcenia męża, lubi się stroić i żyć wygodnie, lecz nie chce pojąć, że ten dobrobyt daje właśnie *praca* męża, to jego przebywanie *zewnątrz* domu. Tylko gdy mąż nie ma czasu *nudzić się*, żona go ma aż nadto. Robi więc wymówki mężowi, że zadługo przesiaduje w sklepie, nie rozumie jego tłumaczenia się, że bez tego przesiadywania nie mieliby wygód życia. „Dla kogo pracuję, jeżeli nie dla ciebie?“ — pyta. Ale Ludka ramionami wzrusza. To *niezrozumienie* nie jest niczem innym, jak tylko rozgrzeszeniem siebie przed sumieniem własnym. Nudzę się, mąż mnie zaniedbuje, a oto p. Wiktor, wiercipięta światowy, słodkie słówka do uszka szeptem i podbija serce nudzącej się. Ludka przestaje kochać męża, całą miłość swoją przenosząc na Don Juana. Kocha go, a jednak oddać mu się nie chce. Wystrzega się nawet niebezpieczeństwa pocałunku. Natręt jednak pocałunek zdobywa, ale wypadek ów stał się przy oknie, tak że mąż, będący naprzeciwko u ciotki Ludwika, dostrzegł ten uścisk i złapał kochanków na gorącym uczynku. „Jestem na rozkazy pana,“ mówi zdetonowany Wiktor i wychodzi, Henryk żąda wytłumaczenia się od żony, ale ta rzuca mu w oczy słowo straszne — rozsta-

nia się i opuszcza dom męża, przenosząc się na mieszkanie do swej przyjaciółki, jakiejś kobiety z pół-swiatka (choć o tem autor nie mówi) pani Róży (Ludowa) Wronieckiej.

Ludka czeka rozvodu, którym niby ma się zająć Wiktor ukochany. Ale nie tego pragnął lowelas. W nadziejach swoich zawiedziony został, bo romans cały na pocałunku się tylko skończył. Gdy Ludka wierzy w uczciwość kochanka—on tymczasem myśli o jej opuszczeniu, o wyjeździe w świat daleki, podłość swoją tłómacząc wykrętnie tem, że myśli o cierpieniach nieszczęśliwego Henryka, jak z mora będzie wciąż stała przed nim i spokoju w pożyciu wspólnem z Ludką nie da. Uzasadnia jeszcze nikczemność swoją tem, że Henryk chce wszystko żonie przebaczyć, o wszystkim zapomnieć i do serca swojego, kochającego zawsze przytułić. Prawda, że Henryk wierzy w niewinność Ludki na zasadzie słów pani Róży, która ręczy za nią. I oto w chwili, gdy kochanek porzuca, a mąż przygarnia opuszczoną do siebie, — ona wybucha: „nie powrócę za nic i nigdy!“ i — podwójna samotnica rzuca dziecinne pytanie: *I co teraz?*

Logicznem by ono było, gdyby—albo mąż zaparł drzwi przed nią, albo choćby niósł jej przebaczenie, był jednak tak marnym człowiekiem, tak nieznośnym w pożyciu, że powrót do domu mężowskiego równałby się przedłużeniu tortur życiowych. Tak jednak nie było. Henryk był człowiekiem zycznym, łagodnym, cichym, kochającym żonę swoją duszą całą. W tym więc wypadku, na rzucone pytanie: *i co teraz?* innej odpowiedzi nie ma, jak: wracaj do męża, mościa pani, bo przekonałaś się, że gach twój jest gałganem, a mąż uczciwym. Gdybyś go pokochała już nawet nie mogła, to zdobądź się choć na odrobinę poświęcenia dla tego serca, które naiwnie uwierzyło w niewinność twoją, bo wszelkie prawo miało nie wierzyć. Oto jak powinnaś postąpić *teraz*, jeżeli masz choć krztę uczucia, okruszynę uczciwości, bo twoje pytanie żadną mądrością, ani psychologiczną zagadką nie będzie.

Teza, jak wszystkie zresztą tezy — nie udała się autorowi. Naiwność zaś Henryka, który wierzy w niewinność żony na zapewnienie *pani Róży*—z głupotą graniczy. Bo kto jest pani Róża? Kokietka, figura marna, o której stronie moralnej wie coś pan Henryk, gdy mówi żonie: popsuło cię towarzystwo pań takich. Pani Róża błąka się jak cień w dramacie, bałamuci i podbija Hieronima; nieprzyjaciela kobiet, *tyka* się z Wiktozem, czem daje do zrozumienia o jakichś z nim stosunkach, mdleje wreszcie, dowiedziawszy się o ucieczce jakiegoś Doreaux, muzyka, któremu pozwala ściągać pieniądze u siebie z szuflady. Czy zapewnienie takiej pani ma jaką wartość? Autor nie uzasadnił niczem możności wiary pana Henryka w słowa—zdaje się wielkoświatowej zalotnicy?

Jeszcze błąka się parę figur w dramacie a nie wiadomo po co i na co? Są niemi Viola śpiewaczka i jakiś Knapowski. Najlepiej wykończoną postacią jest Hieronim Boroski, ów wróg kobiet, brutal w obejściu się z kokietującą go panną Różą, powoli jednak ulegający jej wdziękowi. Postać ta świetnie została zrozumianą i mistrzowsko przez Ładnowskiego odegraną. Niezrównaną też była i pani Ludowa jak równie doskonałym Sliwicki. Malutką rolę starej nianki Henryka wybornie odegrała Berkowska, jeżeli zaś nas niezupełnie zadowolili Wolski w roli Wiktora, to tylko dlatego, że nikłość postaci tego uwodziciela, żadnych wybitnych nie miała rysów, a że z piasku bicz sam Salomon nie ukreśli, nie nie mógł i pan Wolski zrobić z marnej roli Wiktora.

Ukryty jeszcze w kopercie autor, dał dowód niezbity, że posiada sceniczną rutynę. Sztuka jego nie wychyliła się nad poziom mierności i gdyby nie była „kursowa“—lepszego by doznała przyjęcia. W ogóle biorąc, dramat ten jest utworem niedzielnym. Ratuje go od zupełnego potępienia parę scen szczęśliwych, ruchliwość akcyi, świetna wystawa i doskonała reżyserya.

Kazimierz Gliński.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

XXII.

Historya Maryni.

Pan Stanisław posiadał wiele oglady, nieco wykształcenia i uczucie honoru silne, jak u każdego polskiego szlachcica. Zapyta kto, jak z uczuciem honoru pogodzić wykradzenie córki z domu rodziców? Dziś inne panują wyobrażenia; naówczas miłość kochanków nad wszystkie inne wynosiła się idee, — zatem największe upokorzenia ponoszone dla ukochanej osoby, podnosiły wartość tego uczucia, górującego nietylko w oczach kochanków, ale nawet w obec wysentymentalizowanego pięknego świata aż do r. 1808 (Code Napoleon).

Liczono jego czysty majątek na 100,000 złp., co wówczas dobre mienie stanowiło. Ale mu zbywało na imieniu historycznym, godności tytularnej lub dziedzicznej, — a tu przeciwnie, nie mniej jak o mitrach i zamkach dla dostojnych córek marzono!...

Pan Stanisław był znany i miał wziętość w całym Kujawach, szanowany z charakteru, lubiany z wesołego usposobienia; będąc połączony związkami krwi z większą częścią rodzin kujawskich, wszędzie miał stosunki przyjaźni i pokrewieństwa.

Szambelan dobrze czuł, że sobie narazi całą tę prowincję, ścigając go — i nie mogło też być inaczej; a żal mu było utracić przyjaciół, z którymi tak mile dotąd przestawał. A tak mówili jedni: „kto się ożeni, to się odmieni.“ Inni utrzymywali, że mu państwo zajechało w głowę... „Co to, to nie, odparł trzeci, przecież panem już i tak był, ale tony wielkopolskie, które tu nie znalazły oddźwięku, opanowały go.“

— Jak mi Bóg miły, zetrę rogów, co mu w pożyciu z temi nadętymi kaliskimi purchawkami wyrosły, — zawołał blizki krewny pana Stanisława, sławny zawadyaka jarmarczny, pan Radomicki z Dęboli. —

— Kto przyjaciel pana Stanisława, ujmie się za nim! krzyknął ogromnym głosem pan Dobroski, a dziesiątek pijanych zgodnym wtórem odezwało się.

Odgróźki te, jakkolwiek nieprzyzwoite, nie bywały wtedy plonnemi w ustach Kujawianina. Człowiek przyzwoity nie wystawiał się na ich spełnienie. Bolesno przecież było szambelanowi słyszeć powtarzanie tak niesłusznych wyrzutów. Uczuł to dobrze, że w oczach mężczyzn ówczesnych, lubo uprzejmych dla żon w publiczności, ale despotycznych w domowych sprawach, nie obroni go ani usposobienie jego małżonki, ani znana łagodność jego charakteru.

Pan Stanisław został uwięziony.

Marynię przywieziono bezwładną, odrętwiałą do domu rodzicielskiego. W zupełnej niemocy i bezprzymotności umysłu przepędziła pierwsze trzy dni. Matka jej oglądać nie chciała, siostra jej Józia i panna Blemińska czułe o niej miały staranie. Powróciwszy do zmysłów, pragnęła sama, i radzono jej też, aby upadła do nóg matce; ale żeby ją uchronić od gwałtowniejszyny, jaką przewidywano, zaproszono skrycie kilka osób poważnych wiekiem i godnością publiczną.

Na widok wchodzącej występnej córki, krzyknęła zapalczywie:

— Precz! precz z oczu moich! — i tysiąc obelg i złorzeczeń najpospolitszych pędem rozhukanego potoku wypadło z ust — damy wielkiego tonu! Zadosyć czyniąc postanowieniu swemu, rzuca się Marynia do nóg rodzicielki swojej. Ta odpycha ją stopami swemi, kopie nielitościwie, szamocze się, a gdy goście przytomni wdają się w prośby dla jej uspokojenia, uniesiona najwyższem rozją-

trzeniem, nie dość, że porwawszy córkę za długie włosy, włóczy ją na wszystkie strony, uderza twarzą twarzą zgnękaną cierpieniem, ale zwróciwszy się do obecnych:

— Jakto? na toście przybyli, żeby występnej bronić córki?

— Nie, ale żeby złagodzić nader sprawiedliwy gniew macierzyński.

— Nie znam takiej uczynności. Powiedzcie jej lepiej, ile zawiniła względem Boga, matki, rodziny i całej zgorszzonej publiczności! Otóż, gdyby nie została należycie ukarana, to taki przykład znajdzie naśladowanie w tysiącnych przyzwolonych familiach, zwłaszcza gdy osoby wywierające wpływ na opinię, zechcą złagodzić lub wstrzymać wykonanie prawa, jakie służy każdej matce względem wykraczającego dziecka. Proszę zachować dla mnie przyjaźń, jeżeli łaska, bez nadwężenia władzy, jaką mi Bóg nad dziećmi mojemu udzielił.

Śród nieszczęścia domowego i ucisku serca dojrzał umysł Maryni; tępe jej pojęcie zaostrzyło się temi wypadkami i ocknęło z uspienia, w którym trzymała je wysoka jeniarność siostry. Mniej bystre pojęcia, zamiast oświecenia się przy blasku górującego rozumu, gasną przygnębione jego siłą. Uznała nieszczęśliwa Marynia błąd swego postępowania, a łatwiej znosiła własną niedolę, jak myśl doskwierającą, że Stanisław dla niej uwięzionym jest. On więc był jedynym celem jej rozmyślań — a nie nie odrywało jej od tego żalu.

Lat dwa tak upłynęło, w ciągu których wybolęła Marynia przeciwność losu swojego, a narazie zapomniała, że wyrwaną została z rąk lubego jej Stanisława. Miała też czego żałować: związek ten byłby jej zgotował spokojne i miłe życie, którego niestety już na przyszłość doznawać nie miała. Wydana nakoniec została za mąż, nie czując ani wstręt, ani przywiązania do przedstawionego jej konkurenta, pana Józefa Zakrzewskiego z Zaskocza, wsi położonej w ziemi chełmińskiej. Więcej zapewne rada temu, że się stanie panią własnego domu i oddali od matki, która dręczyła jej nie przestawała, — aniżeli że się stanie żoną człowieka obojętnego.

Pan Zakrzewski, jako właściciel znakomitych dóbr, nie zostawiał rodzicom nic do życzenia i pod względem arystokracji. Starożytnej rodziny, herby zdobyły świetny ekwipaż i liberye służby jego. Pozory wielkiego majątku jednały mu wstęp do ubiegania się o rękę panny. Przepych, z którym niedbale występował, hojnie obdarzał służbę domową i kosztowne ofiarował podarki ślubne w klejnotach i przyborach wysokiej wartości podobały się pannie i rodzinie jej, sprawiały podziw i zazdrość w domach okolicznych.

Ciągle zajęty narzeczoną swoją, dosłownie u nóg jej przepędzał dnie całe i wieczory, lubo nader pociesznie wydawał się w postawie Dafnisa człowieczek małego wzrostu, krępy, siadły, na wykoszlawionych, pękających nóżkach, obcisłe i sztywno, nieco z niemiecka ubrany. Do tego ciemny brunet, pełnej wypchanej twarzy, małych, jaskrawych, czarnych oczu, nader niskiego czoła, dla wyniesienia którego miał ostro w górę zaczesane włosy gęste i twarde jak szczotka. Usta jego zwyczajne, przy spokojnym układzie twarzy nabierały w śmiechu wyrazu szatańskiego, tego śmiechu, co go sardonizmem zowią: zaciśnione w samym środku, rozwierały się w kąciakach i odsłaniały widok zębów trzonowych, ściemnionych ciągłym paleniem tytoniu, co jeszcze natenczas mało u Polaków było w używaniu, ale już pomiędzy Niemcami stało się upowszechnionym zwyczajem. Nadawało to Adonisowi temu nienawistny pozór niemieczyny w oczach patryotycznych ziomek jego.

Marnotrawny z upodobania, rozpustny z natury, bezczynny a nieogledny z oziębałości, a pieśniacz ze śmiesznej ambicji, nie miał już nic więcej nad tytuł własności dóbr swoich, tak były zadłużone. Wzięty z żoną posag został przez ojczyzna Maryni tak zabezpieczony, że nim ani podług woli męża zadysponować, ani też sama utracić nie mogła, bo na przypadek bez-

dziatności wracał do rodziny. Ostrożność ta, jakkolwiek zbawienną była dla obojga, nade wszystko jednak dla pewności jej bytu, stała się pierwszym jabłkiem niezgody w tem dziwnie sklejonym stadle, co go ani sympatya uczuć, ani wspólność upodobań, ani wzajemny interes i dążenie do wytkniętego celu, ani nade wszystko rozradzająca się rodzina, lubie dziatki, nie łączyły. Organizm biednej Maryni był bardzo wrażliwy rok po roku, operowano ją chirurgicznie, lecz żadne z jej dzieci nie ujrzało świata... i przepowiedziano jej skon przy trzecim powtórzeniu.

Stało się więc, że już odtąd nic nie zagrażałoby życiu... ale jak nieszczęsnemu!... Cokolwiek może być bolesnego i poniżającego w pożyciu mężatki—wszystkiego doznała, nie wyłączwszy grubych nawet obelg i pokrzywdzeń czynnych Srogi w niepomowanym gniewie, pełen zjadliwej złości, znalazł codziennie przyczyny niezgody. Były te domowe sceny życia realnego, odgrywane za świetną kurtyną pańskości, zbytku i reprezentacyi urzędowej pana podprefekta powiatu toruńskiego—skutek onej konkurencyi formalnej, reprezentacyi powagi familijnej obu połączonych domów, wspaniałych uczt, świetnych darów, sypanych pełnemi rękami narzeczonego, świetniejszej jeszcze wyprawy i ślubnej uroczystości.

Wszystko to odbywało się w zimowym pałacu Bielskich w Bielicach, jako miejscu zamieszkania najbliższemu rodziców pana młodego i tak nazwanych Starych Prus, gdzie posiadała znaczne dobra rodzina Zakrzewskich. Towarzystwo zebrało się liczne i poważne.

Z obcych kilka wydatniejszych postaci stawała żywo w mej pamięci. Hrabina Skórzewska z Lubostronia siostrą była przyrodnią matką Maryni—osoba zajmująca wielką światowością, piękna, uprzejma, poważna i stanowcza zarazem. Oprócz rodziców pana młodego, były siostry jego; jedna z nich, pani Lipińska, druga narzeczo na Nostitz-Jackowskiego, trzecia młodziuchna panna—osoby zwyczajne, bez wydatności. Kraszewscy z Tarkowa i rodzina bliższa ojca i matki mojej. Ślub jakiś kanonik dawał w pokoju przy urządzonej na ten cel ołtarzu. Tak zwyczaj mieć chciał w domach arystokratycznych. Ubior był świetny; podnosiło je rzęsiście oświetlenie salonów.

XXIII.

Landrat pan Chmielewski.

Pan Chmielewski, dobry Polak, czcigodny obywatel, zdalny urzędnik, miły z fizjonomii i uprzejmości, znany z prawego charakteru, był landratem podług pruskiego regulaminu r. 1800 w bydgoskim powiecie; mieszkał w mieście; miał wiele wziętości, był kawalerem, a wszystkie matki, nie wyłączając dumnej szambelanowej, pragnęłyby go mieć dziecinem. Panny miłe na niego spoglądały, mężczyźni poważali i kochali go. Tymczasem p. Chmielewski... wszędzie uprzejmy dla dam, miłym towarzyszem był, ale nigdzie warunkom konkurenta nie odpowiadał... Żył w milej niezawisłości, żywiąc w sercu swoim uczucia wzniosłe—niesienia hołdu prawdziwej zasłudze i cnocie.

— Czyliż pomiędzy temi pięknymi salonowymi damami — zapytywał siebie — wykształcone mi przez baczną matkę lub ochmistrzynię, zwrotami w rozmowie czerpanej z dzieł dramatycznych i ściśle uczuciowych romansów, wyuczonych czytaniem dziejów wszystkich wieków do wyższej rozmowy — jest coś więcej nad chęć popisu?

— Czyli te lalki, których układ ciała, wdzięki i głos mówienia, przeistoczone starannym wychowaniem, nie zostawia cienia naturalności, nie są niczem więcej, jak aktorkami na scenie świata? Natura mszcząc się za powstrzymaną jej siłę, w pożyciu domowym, wolnym od więzów próżności, wywołac może na powierzchni tej pięknej ogłady męt złych skłonności, przytłumio-

nych pozornym wychowaniem! Nie! Ja się nie ożenię wcale, jeżeli nie spotkam w drodze życia przekonania o prawdziwej i dowiedzionej cnotliwości, w jakiegokolwiek osłonięta będzie powłocą — nie będę jej szukał; przecież ludzkość nie może być tak poniżoną, żeby mi tej sposobności nastroczyć nie zdołała!

Stosunki urzędowania, wziętość u dworu, a nade wszystko pobyt nieszczęśliwej, rozwiedzionej siostry w Berlinie, której mąż marnotrawny, straciwszy ogromny majątek, zostawił rodzinę swoją w stanie zbliżającym się do niedostatku, powodowały Chmielewskiego do częstych wycieczek do Berlina. Dla utrzymania powagi stanu, aby nie świecić nędzą pomiędzy współobywatelami, pani Lipska usunęła się w cichość odludnej ulicy miasta stołecznego, z kądem przy skromnym utrzymaniu kierowała edukacją dwojga dzieci, Ignacego i Teresy Lipskich, za radą ukończonego brata. Ignacy Lipski z Ludan, dziś (1852) szanowany i wzorowy gospodarz w W. Księstwie Poznańskim.

W jednej z tych wycieczek, stanawszy w známym hotelu, gdy jeszcze w smacznym śnie spoczywał, budzi go przeraźliwy wrzask rozgniewanej niewiasty, z kurytarza dochodzący go. Głos płaczliwy i żalony służącej odpowiada hałaśliwym apostrofom pani domu; plagi zadawane, jedne za drugimi, dają nacisk tej scenie. Wstaje on, bierze naprędce szlafrok, otwiera drzwi, co za widok!... Rozogniona gniewem oberżystka włóczy za włosy chudą, brzydką, rozczochraną, pokaleczoną i skrwawioną służącą. Nie mogąc się uspokoić, jeszcze się pastwi nad biedną!... Lokator chwyta furę tę silnie za ręce, ona błyska na niego zapalczywym wzrokiem i woła:

— A któż to mi zabronić może prawa domowego?

— Ja, lokator, przebudzony ze snu — człowiek, któremu uczucia ludzkości nie są obce, a nakoniec urzędnik państwa, ukrócający samowolność poddanych J. Kr. Mości! Jestże to uczciwie tak się ze sługami obchodzić?

— Pan sam i inni goście cierpią na nieregularności jej służby, a ja, właścicielka zakładu, jestem odpowiedzialną za te niedogodności. Ośma godzina wybiła, a ta, co jej polecane są właściwe numery, jeszcze śpi!... coż robiła w nocy? pewnie hulala gdzie na schadzce w szynkowni, albo też...

— Ach mój Boże jedyny! Nie kończ pan! Żeby się przy całym moim nieszczęściu wstydem nie zalała! Dałam ci kiedy powód sądzienia tak o mnie? Niekzemnicą nigdy nie byłam!

— Coż masz na swoją obronę? — zapytał gość.

— Matkę starą, biedną i chorowitą. — odpowiedziała służąca.

— I dla tego zaspalaś? — z przekąsem zapytała gospodyni.

— Zaledwo zasługami moimi opędzam jej skromne utrzymanie; nie zdołam starczyć na dogodności niezbędne dla chorej i dla tego biorę szycie z miasta, aby zarobiony grosz tej kochanej odsyłać matce. Zatrudnienie przywiązane do służby mojej, ściśle jest na cały dzień wychowane, ale w godzinach poświęconych spoczynkowi, ujmuję codzien połowę dla dopełnienia obowiązku dziecinnego. Wczoraj kończyłam dawno rozpoczętą robotę, bo dziś odchodzi okazja do mej wsi rodzinnej; śpieszyłam z ukończeniem, aby zyskać zapłatę... dłużej jak zwykle szylałam... i otóż przyczyna mej winy.

Na dowód pobiegła i przyniosła duży pakiet świeżo uszytej bielizny.

— Po takim obejściu się pani oddalisz tę służącą — rzekł landrat tonem prawie nakazującym.

Gospodyni oddaliła się ze wstydem.

— Coż ty więcej umiesz jak szyć i usługiwać?

— Nic, bo nie stało matki na edukację, a inne nauki tak łatwo nie dalyby mi chleba.

— Masz — rzekł, oddając jej kilka dukatów, — dołóż to do swego zarobku i poslij matce. Ukończ ze swoją gospodynią, a ja o reszcie pomysle. Jesteś wiekiem dojrzała, miałażbyś jeszcze chęć uczyć się?

— Ach, mój Boże, gdybym tylko była tak szczęśliwą, żeby mnie uczone, a miała czas wolny do tego.

Parę godzin później już wszystko było ukończone pomiędzy sługą a panią. Chmielewski wrócił z miasta, wezwał Ludwikę; już była umyta, ubrana, ale brzydka jak noc, mizerna i poraniona.

— Idź z moim służącym do domu na ulicę... pod nr... tam masz stół i mieszkanie, zapłacone na rok naprzód. Będą chodzili w pewnych oznaczonych godzinach nauczyciele pisania, czytania i rachunków. Byłażes już u komunii?

— Od lat trzech.

— To więc już nauki religijnej nie potrzeba. Dość mi na tem Zachowaj się przyzwoicie, użyj wolnego od nauk czasu na zarobek dla utrzymania matki. Ja tu za rok będę i pomysle o reszcie.

Znalazła stancję skromną, ale porządną, zaopatrzoną we wszystkie potrzeby życia, w niektóre materiały nawet do jej przyodziewku służące, wymagające tylko pracy ręcznej, a nakoniec stół uczciwy, poważnych nauczycieli. Wszystko już naprzód opłacone było, a w szufladzie stolika leżało 120 złotych na niezbędne wydatki.

Dwa lata później powraca pan landrat z Berlina. z żoną! Wielka nowina! Co to za jedna? — Niemka. Piękna? Brzydka jak noc. Młoda? Tak szpetna, że wieku odgadnąć trudno. Któż ją widział? jakże się prezentuje? Czy świetną przywiozła wyprawę?

Kilka niemieckich urzędniczek wizytowało ją — ona nigdzie się z domu nie wydała; ubiór jej prosty, a nade wszystko oryginalny; rozmowa ma być pospolita i wszystko na jej osobie nosi cechy śmiesznej nieułożności!... Cóż to jest? Człowiek jak ten, nie mógł się tak ożenić bez celu! Ale bo to podobno krewną pierwszego ministra! — wychowana w głębi prowincyi, zanedbana przez rodziców. Dla zjednania jej losu, oddano ją znanemu z charakteru Chmielewskiemu, a on podobno na wysokie za to postąpił urzędowanie. Będzie to jej posagiem, bo pan minister nawet na wyprawę niebardzo się wysilił, tylko skutę batów pstrokatej za nią przywieziono, — a zresztą w domu zamożnego landrata wszystko jest jak było. Może utalentowana? Doskonale jeś gotuje; sławną jest ztąd, że z jednego zajęcia 6 potrawek robi do gustu mężyczka, ślicznie czyści wszystkie srebra i piękniadła domowe, ściśle porządek w domu utrzymuje, a landrat jak zaklęty urokiem czarodziejskiego ministra, najchętniej czas w domu przepędza, zapewne zajęty wygotowaniem jakiego ważnego memoriału, co go posunie na pierwsze w kraju stopnie.

Tymczasem upłynęło lat kilkanaście, a już nie minister pruski, ale nowa organizacja rządu Księstwa Warszawskiego nadała mu później posadę dyrektora skarbu. Przyzwyczajono się do jego domowego składu. Żona dobra, spokojna, choć oryginalnie śmieszna kobieta, tolerowana przez wzgląd na męża, doznawała najwyższego szacunku, najwyższej troskliwości małżonka. W każdej chorobie, a corok je odbywała, bo mnożyła dzieci co niemiara, mąż nie spuszczał się na doktorki i slugi; przy jej łóżku twardy sobie kazał słać materac, aby być gotowym na każde jej poruszenie. On wiedział, że w najgorszym nawet przypadku chora nie przerwałaby snu jego. Rozgłaszano szczegóły tego pożycia — świat dziwił się tym nadzwyczajnościom, nareszcie zmilczał, bo kobieta nie ubiegająca się za wyższym zванием, dopełniająca obowiązków swego powołania, nade wszystko szanowana od męża, jeżeli nie zjedna sobie opinii powszechnej, która zawsze świetniejszych wymaga przymiotów, to przynajmniej nie zawadzi nikomu. A jeżeli kto z obywateli przez przyjaźń lub interes odwiedził dyrektora skarbu, to on sam w sobie miał tyle zasobów, że zastąpił z łatwością niedostatek daru zabawiania w żonie. A ona skromna, potulna, brała na siebie obowiązek częstowania gości, co jej się dość zręcznie udawało. Było przecież dziwactwo jedno nieodstępne od jej przyborów: na czepku powszednim nosiła ciągle dużą chustkę zawiązaną tak, że wznosiła się jak trąba słoniowa cienkim końcem w górę.

podniesiona. Dyalekt jej pozostał na zawsze dwuczennie polsko-niemiecki, który nie przystawał bynajmniej do ucha Polaków, a raził, zwłaszcza w epoce odrodzenia ojczyzny.

Tymczasem nadraszały starsze córki. Chmielewski wyprawił imieniny żonie, w celu otwarcia domu dla ubiegającej się do tańca jak i do ożenienia młodzieży. Grono gości było złożone w części z osób wysokiego znaczenia. Byli krewni gospodarza, honoracye miasta i młodzież biurowa. Spełniano toast na cześć solenizantki. Ona uniesiona najwyższem uczuciem, zalewa się łzami, rzuca na kolana przed mężem, a wymowa, którą serce tak po mistrzowski dyktuje, opowiada, jak on ją z największej niedoli i ponizienia podniósł do siebie.

Była to owa służąca z oberży — nie żadna ministrówna, ale nieszczęśliwa istota, pełna cnoty i poświęcenia dziecinnego. W ciągu dwuletniej edukacji, jaką za staraniem męża poprzednio pobierała, okazała się zawsze jednakową: skromną, cichą, pobożną i wdzięczną, a świadectwa jej nauczycieli i nieznanych jej przyjaciół protektora przekonały go, że w niej znalazł czego szukał: cnoty. Bez względu na wszystko, co otaczało i składało istotę osoby, posiadającej ją w tak wysokim stopniu, dotrzymał sobie słowa i zaślubił ją.

Scena tych imienin, wszędzie powtarzana, nie zmniejszyła szacunku dla małżonków, owszem, podwyższyła go. Licznie rozrodzona rodzina była złożona z samych córek, które pomiędzy składem urzędników znalazły mężów godnych siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z PARYŻA.

W Listopadzie.

Zima jeszcze od nas daleko. W wielkiem naszym mieście, jedynie stroje dam, które obecna moda rozrzućnie przybiera futrami, przypominają, że lada dzień mrozy i śniegi zawitać mogą. Za to przesłone okolice Paryża wyglądają po zimowemu. Nie brak w nich wprawdzie spacerujących nawet z eleganckiego świata, lecz wille prawie wszystkie są już pozamykane, ogrody zaś i parki zasłane pożółkłym liściem.

Pogodą i jasnemi promieniami słońca zwabiony, poszedłem za przykładem wielu i uciekłem od gwaru miasta, aby skorzystać z ostatnich dni ciepła w tym roku i nacieszyć się choćby tem tylko, że przez godzin kilka słyszeć nie będę o fatalnej sprawie Dreyfusa.

Montmorency, bardzo blizkie Paryża, znalazłem przez letnich mieszkańców opuszczone, tylko „Pustelnia“ pani d'Epinau, gdzie mieszkał niegdyś Jean Jacques Rousseau, zastałem zaludnioną przez cudzoziemców, którzy, mając interesy lub obowiązki w zajęciu w dzielnicy, położonej blizko dworca kolei północnej, dla taniości zamieszkali poza obrębem Paryża.

O wiele bezludniej było w Enghien-les-Bains, leżącym o pół godziny od Montmorency. Nad jeziorem, którego brzeg tworzy równą, bez żadnych pogłębień linię i ponad którym ciągnie się szereg wili, tak samo jak brzeg jeziora, równo, jakby pod sznur wyciągnięty, siedziały trzy młode Angielki. Dwie z nich malowały, jedna czytała głośno. Dziwna rzecz, jak miejscowość ta, tłumnie przez Paryżan w lecie nawiedzana, posiada typowo angielski charakter i jak ten krajobraz, pozbawiony malowniczości, mglisty nieco od wznoszących się z jeziora oparów, wyborne tło stanowił dla tych trzech sztywnych postaci nad wodą.

Z Enghien-les-Bains koleją elektryczną powróciłem do Montmorency, aby udać się jeszcze w przeciwną od Enghien stronę do Saint-Leu. Droga wspaniała. Po prawej ręce ciągną się wie-

kowe lasy, należące do Montmorency, po lewej olbrzymia płaszczyna, zakończona ścianą wzgórz, pokrytych równie potężnym lasem.

Tu dopiero odczułem czar pogodnego dnia jesieni. Krajobraz nie ma tu nic przerafinowanego, że tak rzeknę, wyperfumowanego, jak w innych miejscowościach w okolicach Paryża położonych, np. w Saint-Cloud, Ville d'Avray, Saint Germain. Tu jest się przynajmniej na wsi i to na jakiej wsi! Nie ma pewnie w pobliżu Paryża drugiego kawałka ziemi tak żyznego, pełnego sił żywotnych, bogatego w glebę, wydającą tak obfite plony, jak ta dolina, zamknięta pomiędzy dwoma rzadkiej rozległości lasami. Tu musiał Rousseau wiele przeżyć z tego, co pozostawił w swoich nieśmiertelnych „Confessions.“

Mówiąc o okolicach Paryża, wspomnę jeszcze o wielkiej uroczystości w hippodromie w Auteil, która się odbyła w celu uczczenia 25-iej rocznicy istnienia towarzystwa Steeple-Chasse.

Po kilkogodzinnym pobycie w zamiejskiej cieszności, jeszcze bardziej odczuwa się zgiełkowość i kipiące warem życie tej prawdziwej stolicy świata. Do zgiełkowości i do przerafinowanego w złym kierunku smaku obecnej doby, za wyjątkiem kilku scen poważniejszych, wszystkie teatry zastosowują nową sztukę, przez co tem większe wrażenie sprawia dramat Piotra Loti „Judyta Renaudin,“ wystawiony w teatrze Antoine.

Piotr Loti do dramatu swego zaczerpnął podobno materiału ze starych, rodzinnych szpargałów. Judyta Renaudin ma być jego praprababką. Dramat odgrywa się w małym francuzkiem miasteczku Saint Pierre, w czasie zniesienia edyktu Nantejskiego, a więc w r. 1685.

Wzmianka ta o treści, przed wystawieniem dramatu, nie brzmiała wcale zachęcająco, a jednak „Judyta Renaudin“ nie jest sztuką ani nudną, ani zestarzałą. Jest to dzieło piękne, o nastroju prawie uroczystym, dzieło prawdziwego poety. Loti, jak wspomniałem, znalazł do swego dramatu materiał w starych papierach, lecz umiał odczytać je oczami wieszczka. Katolicy i protestanci, kolejno budzą gorące zajęcie widza, a w mowie tych ludzi mało jest teologicznej dyalektyki, ale za to wiele natchnienia. Prócz tego, dzieło wywiera wrażenie czegoś wzniosłego z powodu, iż odczuwa się w niem głęboką miłość bliźniego. Rzecz wprawdzie rozgrywa się w 1685 roku i widzi się na scenie ludzi, noszących kostiumy z owych krwawych czasów, lecz doznaje się chwilami dziwnie błędnego wrażenia na myśl, że przecie i wtedy były serca, przepełnione uczuciem chrześcijańskiego miłosierdzia.

Dramat Loti'ego jest sztuką w siedmiu obrazach. W pierwszym obrazie widzimy plac przed kościołem. Po lewej stronie kościoła, po prawej dom rodziny Renaudin, najznacniejszej protestanckiej rodziny w miasteczku. Zapisana karta przyklepiona jest na drzwiach kościoła, a proboszcz objaśnia zgromadzonym treść owej karty.

Edykt Nantejski został zniesiony, kościół protestancki ma być za trzy dni zamknięty, tak samo i szkoła, dzieci protestanckie mają być odtąd wychowywane w wierze katolickiej i usiłowanie wyjazdu protestanta będzie uważane za ucieczkę z kraju i karane zesłaniem na galery. Protestanci i katolicy w miasteczku St. Pierre żyją od niepamiętnych czasów w braterskiej zgodzie. Po przeczytaniu przez proboszcza rozkazu władzy, parafianie jego śpieszą do swych protestanckich współbraci ze słowem pociechy i serdecznego współczucia. Najgłębiej odczuwa krzywdę wyrządzoną spokojnym mieszkańcom proboszcz, który jest człowiekiem wielkiego serca.

Jeszcze podczas mowy księdza, przed domem Renaudin'ów gromadzi się tłum żebraków, kalek i starców, albowiem jest to godzina, w której córka tego domu, Judyta, ukazuje się zawsze, aby rozdać jałmużnę biedakom. Na placu przed kościołem zjawia się tymczasem dwóch dragonów królewskich, jeden starszy, o twardym, bezlitosnym wyrazie twarzy, drugi młodszy, niedawno

do miasteczka przybyły, kapitan d'Estellan. Drzwi otwierają się i wychodzi Judyta, rozmawia z biednymi, jednych wspiera datkiem, drugich żywnością, trzecim podaje lekarstwo lub sama opatruje rany, a d'Estellan, podmówiony przez swego towarzysza, podchodzi do pięknej panny Renaudin z ukłonem i prosi o opatrzenie jego chorej ręki. Zrazu Judyta szuka wymówki, lecz ulega wreszcie prośbie młodego dragona i opatruje mu ranę, za co on chce ucałować jej rękę. Judyta przestraszona cofa się, w tej samej chwili ukazuje się w drzwiach starzec, dziadek Judyty i ciężkie drzwi zamykają się z trzaskiem.

Drugi obraz rozgrywa się w domu Renaudin'ów. Ociemniała staruszka, prababka rodziny, siedzi w fotelu i pomimo ślepoty, rządzi całym domem. Syn, wnuki, prawnuki i służba całego domu otaczają staruszkę czcią prawdziwą. Dziadek i prababka chcą wydać Judytę za męża za kuzyna Daniela, lecz młoda dziewczyna opiera się temu. Rodzina zgromadzona jest właśnie na naradzie, kiedy ukazuje się kapitan d'Estellan. Przychodzi on, żeby usprawiedliwić się ze swego względem Judyty postąpienia. Przybył on wprawdzie do miasteczka w bardzo nieprzyjemnej misji i będzie musiał spełnić rozkazy króla, to jest prześladować będzie Hugonotów, lecz nie ma on bynajmniej zamiaru, po za rozkazami swej władzy, sprawiać komuś przykrości, a tem mniej obrażać młodą damę. Judyta przebacza mu, ale dziadek, człowiek surowych obyczajów, nie chce widzieć w swym domu pięknego kapitana i drzwi mu pokazuje.

Następuje wieczór, w ogrodzie przed domem Judyty i przyjaciółka jej, Joanna, gawędzą pod rozłożystą lipą. Joanna opowiada Judycie o wspólnej ich znajomej, która w sąsiednim miasteczku udała się do wykonawcy rozkazów królewskich z prośbą, by pozwolił jej z rodziną wyjechać. Ten jednak nie dał się ubłagać. Podczas rozmowy młodych dziewcząt ukazuje się znowu d'Estellan. Przybywa z oznajmieniem, że pozostawia rodzinie Renaudin pięć dni czasu do wybrania się w drogę. Po pięciu dniach zaczyna się prześladowanie. Stary Renaudin ma więc dzieci swoje i wnuki wyprawić do Hollandyi.

Obraz czwarty: Zakrystya kościoła w miasteczku St. Pierre. Miłosierny proboszcz ukrywa tu dzieci najuboższych rodzin protestanckich do czasu, aż będzie gotowy okręt, który je wszystkie przewiezie do Hollandyi. Stara gospodyni księdza karmi małeństwa, bawi się z niemi, tuli je i spać je układa, przyczem pomrukuje ciągle o obrazie Boskiej, jakiej dopuszcza się proboszcz, boć to zawsze są „pogańskie dzieci.“ Kiedy jednak zakrystyan wpada i oznajmia, że dragoni są blizko, poczciwa stara pierwsza gotowa jest bronić pogańskich dzieci do ostatka. Okazuje się w końcu, że to nie byli dragoni, lecz kapitan d'Estellan, który przybywa do zacnego kapłana, aby go prosić o radę. D'Estellan kocha Judytę i pyta proboszcza, czy może na wzajemność pięknej panny Renaudin rachować. Starzec zapewnia go, zmartwiony srodze, że daremni są jego zabiegi, albowiem Judyta, należąc do rodziny protestanckiej, z pewnością słyszeć o tem nie zechce, aby zostać żoną królewskiego dragona. D'Estellan unosi się gniewem, nie przywykł on do tego, by mu czegoś odmawiano i w uniesieniu najwyższem zapowiada, iż odtąd nie będzie znał litości, że będzie postępował z taką srogością, jak tego surowy rozkaz królewski wymaga.

I d'Estellan nie zna litości. W następnym obrazie, który rozgrywa się w nocy, gromada Hugonotów śpieszy na okręt. Wtem rozlegają się strzały, to d'Estellan na czele swoich dragonów. Kiedy w ciemności usiłuje przebić się dalej, zastępuje mu drogę stara gospodyni proboszcza z dzieckiem na ręku, które pierwsza kula zabiła. Obraz ten jest bardzo krótki i pełen siły.

Gospoda, oficerowie dragonów grają w karty. D'Estellan zamyślony z roztargnieniem odpowiada na ich słowa. Towarzysze wyśmiewają się z niego, a żarty ich gniewają go coraz bardziej. Już oddawna obrzydło mu jego rzemiosło, on go-

tów jest walczyć, ale walczyć z prawdziwym nieprzyjacielem, nie z kobietami i dziećmi. Towarzysze odchodzą, on sam pozostaje, a wtedy zjawia się Judyta, która przychodzi błagać d'Estellana o litość dla ostatnich Hugonotów. Zostało ich tylko trzydziestu. D'Estellan z razu jest nieublagany, lecz na widok łez pięknej dziewczyny miłość odzywa się w jego sercu. Wyznaje Judycie, że ją kocha i teraz on ją błaga, żeby zapomniała o wszystkim i żoną jego została. Judyta zamiast odpowiedzi modli się: „Boże broń mnie przed uwodzicielem, serce moje zwraca się ku niemu, Boże broń mnie!” Modlitwa sił jej dodaje i choć serce zwraca się do — „uwodziciela.” — prośbę jego odrzuca.

W ostatnim obrazie dzieci i wnuki starego Renaudin'a żegnają się ze ślepą prababką. Wszystko gotowe do drogi, na dworze burza szaleje, starszka modli się o szczęśliwą drogę dla wnucząt, gdy nagle wpada proboszcz, a za nim dwóch dragonów. Poploch okropny, wszyscy myślą, że wybiła dla nich ostatnia godzina, tymczasem proboszcz tłumaczy, że to d'Estellan przysłał swoich żołnierzy, aby bezpieczną drogą przeprowadzili wychodźców na okręt, sam zaś czeka na nich i towarzyszyć im będzie aż do Hollandyi. Dość już ma tego życia, żołnierzem pozostałby z rozkoszą, lecz zbirem być nie chce.

Jedynym zarzutem, jaki sztuce postawić można, jest rozwlekłość, sceny jednak epizodyczne są wspaniale i głębokie sprawiają wrażenie.

„Comédie française” wystawia prawie bez przerwy tragedję „Struensee” Pawła Meurice, jednego z kandydatów na fotel akademika. Jeśli go wybiorą, przyszedłby nieśmiertelny niedługo pewnie cieszyć się będzie tą godnością, ponieważ liczy już 81-y rok życia. Tragedya „Struensee”, która rozgrywa się w Danii, jest to romantyczny utwór w rodzaju Ruy Blas'a lub Ernaniego. Albert Lambert, oraz panny: Lara i Wanda Boucza, święcą w tej sztuce prawdziwy tryumf.

Exre kandydatury Meurice'a, przytaczają rozmowę Franciszka Coppée z Teodorem de Banville, który tak samo jak Meurice uważany jest za kandydata do tytułu nieśmiertelnego. Coppée, jako Akademik, spotkał się na foyer teatru „Comédie” de Banville'a, przypomniał mu, iż wkrótce mogą zostać kolegami i wyraził przytem żal, że Banville, jak słyszał Coppée od przyjaciół, zarzeka się składania wizyt Akademikom, pomimo, że zwyczaj ten zachowuje każdy nowowchodzący. Wreszcie Coppée, chcąc przełamać upór Banville'a, zażartował, że pewnego dnia zjawi się u niego uroczyste w towarzystwie dwóch kolegów i wręczy mu na wspaniałej srebrnej tacy patent Akademika.

— I cóż w obec tego uczynisz? — zapytał z tryumfem.

De Banville odrzekł:

— Je ne sais pas ce, que je ferai du titre, mais surement je garderai le plateau.

(Nie wiem co zrobię z tytułem, ale z pewnością zachowam tacę).

Prawdziwą nowością w literaturze jest książka Lichtenberga pod tytułem: „La petite soeur de Trott.” Jest to niejako dopełnienie dawniej wydanej historii małego Trott'a, opowiedzianej w formie powieściowej, a prze stawiającej typy ze świata dziecięcego. Wzruszającą opowieść czyta się z zajęciem. Wspominam o niej w obec nadchodzącej gwiazdki, ponieważ śmiało polecić ją można.

Es.

Kronika działalności kobiecej.

— Jednakim duchem miłosierdzia natchnione, trzy siostry: Leokadya, Leonia i Marya Michel, powzięły przed laty 14-tu myśl poświęcenia się zupełnie wychowaniu biednych sierot lub dzieci rodziców ubogich. Zrazu, o ile ich fundusze pozwalały, małą liczbę przygarnąć mogły, dziś pożyteczna ich działalność szersze zainteresowała koła, przytułek sióstr dobroczynnych zyskał urzędowe prawo swego istnienia, pod władzą Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności i oto w obecnej chwili znajduje się w nim 54 wychowanek, z których najstarsza liczy lat 16, najmłodsza 3. Przytułek ten pod wezwaniem św. Zofii, zajmuje oficynę domu Nr. 19 przy ulicy Pięknej w Warszawie i wychowuje szereg młodych dziewcząt na porządne, umiejętnie i moralne służące. Uczą się tam dziewczęta gotowania, pieczenia ciast, prania, prasowania, szycia, pończosznictwa i handlu, a po należnym wykwalfikowaniu dostają miejsca po domach. Jest to istotnie ogromna zasługa tych trzech sióstr, pełnych miłosierdzia i rozsądku, które w cichości spełniają wielkie zadanie dobroczynne i społeczne. Przytulkiem tym zajmuje się jeszcze osobno pani Korwin-Szymanowska i p. St. Pawiński, dążąc do tego, aby zakład z czasem dom własny posiadał.

— Na konkursie wzorów na tkaniny, ogłoszonym przed półrokiem przez łódzkie firmy przemysłowe Heinzel i Kunitzer, przewaga nagród dostała się kobietom. Nagrodę II A rb. 150, za rysunki swoje otrzymała pani Bronisława Poświkowa, pod godłem: „Bez wytechnienia.” Pomiedzy tablicami wyróżniono oznaczone literami a i e (LXII), wraz z pochwałą za lit. a, b i e (XXV) i literę b (LXII). Nagrodę III A rb. 100 dostała p. Natalia Zochowska za prace swoje pod godłem „Trzy lilie w pierścieniu,” a w szczególności objęte literami o i p, wraz z pochwałą za całą seryę. Nagrodę III B rb. 100 wzięła p. Marya Kurzańska za rysunki pod godłem „Sztuka stosowana.” Nagroda III C rb. 100 dostała się p. Julii Radwan za wzory pod godłem „Wiek.” Nagrodą V rb. 50 odznaczono prace p. Maryi Tyszka pod godłem „Z naszych pól,” a w szczególności za tablice oznaczone literami a i b. Nagrodę VI B rb. 50 wzięła p. Aleksandra Buszma-kin za rysunki z godłem „Kotwica,” a mianowicie za rysunek Nr 4. Nagrodę VI E rb. 50 dostała p. Pelagia Zaremba za rysunki pod godłem „Aremba.” Nagrodę VI B rb. 50 otrzymała p. Marya Tyszka za prace z godłem „Szkoda kwiatów.” Widzimy zatem, że aż ośm kobiet zyskało uznanie na tym konkursie przemysłowym, który bodaj czy nie jest pierwszym większym popi-

sem zdolności kobiet na polu sztuki stosowanej. Objaw tej praktycznej działalności witamy ze szczerą radością, tem bardziej, że nagrodzone pracowniczki, w uwzględnieniu warunków konkursu, umiały wprowadzić wiele motywów swojskich w pomysły swoje i dały tem dowód nowy, że możemy wybornie obejść się bez obcych natchnień, skoro na własnym gruncie zbierać możemy i pożyteczne i piękne plony. Nagrodzonym paniom serdeczne wyrażamy powinszowanie.

MYŚLI.

Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Cecha prawdziwego daru rozmowy jest ta, aby z każdym się porozumieć; z uczonym być uczoną, z dowcipnym dowcipną, z milczącym wielomówną, z wielomównym milczącą, z ograniczonym ograniczoną, z mieszkańcem miasta świadomą zwyczajów jego, z wieśniakiem wieśniaczką. Umieć się stosować do rozumu, pojęcia, stosunków, wiadomości każdego, prawdziwym jest talentem i do niego nietylko światła rozsądku potrzeba, ale i taktu, który jest tem dla umysłu, czem delikatność dla serca; wszystko spostrzega, a czego nie zobaczy, to zgadnąć umie.

Doświadczenie skarbem rozsądku powszechnie mianują; dziwne i smutne byłoby to bogactwo, bo jeśli niszczy wszystkie serca i młodego wieku marzenia, więcej odbiera niż daje.

Nim wymknie ci się słowo dowcipne, komukolwiek przykróść sprawić mogące, niech pierwszej dobroć zamknie ci usta. Największe pochwały dowcipu twojego, śmiech całego towarzystwa, nie nagrodziłyby ci nigdy zarumienienia i pomieszania twojej ofiary. Zapomniałaśby wkrótce odgłosu pochwał, a obraz ten stałby długo przed twemi oczyma i ciężył na sercu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 1 powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszc” w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Pamięci Klementyny z Tańskich Hofmanowej, przez Deotymę — Józefa Naprstkova, przez Antoszkę. — Za progiem raj. Cykl piosnek, przez Szczęsną. — Biała baszta, nowella, przez Szczęsną (dalszy ciąg). — Teatr, przez Kazimierza Glińskiego. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Z Paryża, przez Es. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Dodatek obejmuje *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 1. — Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Ноября 1898 г.